

Wywiad z rodzeństwem Marią Wypych (z domu Węgrzyn) i Bronisławem Węgrzynem, Nowa Zelandia

Ks. Andrzej Chibowski: Jak wyglądało Pani dzieciństwo na Kresach?

Maria Wypych: Ojciec urodził się w Krośnie. Miał trzech braci i sześć sióstr podobnie jak mój mąż. Mama pochodziła z Tarnawy z rodziny Majdów. Mieszkali blisko Wieliczki czy Bochni. Miała siedmioro rodzeństwa. Jej rodzice mieli niewiele ziemi. Wtedy na Kresach można było kupić tanio majątki. Jej ojciec sprzedał wszystko. Przyjechał na Kresy do Kolonii Ostrów w powiecie Sokal w województwie lwowskim. Kupił tam dość dużo ziemi, żeby mógł utrzymać ośmioro dzieci. To było około 1920 roku. Mama wyszła za mąż w 1922 roku.

Ojciec służył w wojsku podczas I wojny światowej. Walczył w różnych krajach m.in. w Jugosławii. Wrócił z wojny w 1922 roku. Rodzice kupili ziemię w Kolonii Gruszów. Mieli sześcioro dzieci: dwóch synów: Bronka i Janka oraz cztery córki: mnie Marię, Józefę, Władysławę i Franciszkę. Mieszkańcy tej kolonii przyjechali spod Łańcuta, Rzeszowa. Znajdowało się tam 21 dużych gospodarstw. Niektórzy mieli po 25 morgów. Moi rodzice mieli tylko 6 morgów. Dziadek tak podzielił swój majątek. Ziemia była żyzna.

Mama zajmowała się gospodarką, bo tato pracował na budowie. Do naszej miejscowości przyjeżdżali ludzie i budowali domy. Na pieszko było daleko, więc ojciec rzadko przychodził z pracy do domu. Mama prowadziła gospodarkę i zatrudniała ludzi do pomocy.

Urodziłam się w 1925 roku. Mieszkaliśmy u babci, bo nasz dom nie był jeszcze ukończony. Kiedy urodził się mój najmłodszy brat Bronek, mama nie czuła się dobrze. Zamieszkałam wtedy z mamą. Poszłam do szkoły w wieku sześciu lat. W Ostrowie były tylko cztery klasy. Miałam 10 lat jak skończyłam naukę. Mama chorowała. Mieliśmy bardzo trudno.

Na naszej wsi w większości mieszkali Ukraińcy. Moje wszystkie koleżanki mówiły po ukraińsku. Też mówiłam po ukraińsku, bo inaczej nikt by ze mną nie rozmawiał. Jednak w szkole uczyliśmy się po polsku. Pojawiały się napięcia między Ukraińcami i Polakami. Nigdy nie było tak, żeby Ukraińcy trzymali się razem z nami.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy Pani rodzina była religijna?

Maria Wypych: Babcia Franciszka nauczyła mnie modlitwy. Sypałam kwiatki podczas procesji na Boże Ciało. Rano śpiewaliśmy Godzinki. Jeździliśmy na odpusty do Bełży. Tam był klasztor na pięknym wzgórzu, w którym znajdował się cudowny obraz Matki Bożej

Ks. Andrzej Chibowski: A jak Pani zapamiętała ojca?

Maria Wypych: Tato był dobrze zbudowany. Zachorował na raka mózgu. Przeszedł operację we Lwowie. Mama musiała sprzedać pole, żeby opłacić szpital. Później ojciec nie mógł pracować na budowie. To stało się kilka lat przed wojną. Było nam ciężko. Tato chodził, ale nie mógł pracować na budowie, bo nie miał siły. Mama musiała zajmować się gospodarką.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy pamięta Pani jak Niemcy zaatakowali Polskę?

Maria Wypych: Atakowali przeważnie z samolotów. Strzelali nawet do ludzi jak zobaczyli kogoś pracującego na roli. Między kolonią, na której mieszkałam a wsią płynęła rzeka Sofija, która wpadała w Sokalach do Bugu. Tam ustalono sowiecko-niemiecką granicę. To była zima. Kiedy ktoś przeszedł na niemiecką stronę, Niemcy nic nie robili. Jak ktoś szedł z niemieckiej strony na sowiecką to Sowietci strzelali. Mój sąsiad miał troje dzieci i żonę. Jego matka mieszkała po sowieckiej stronie. Poszedł ją odwiedzić. Sowietci krzyknęli do niego, żeby stanął. Nie zatrzymał się. Zastrzelili go. Później jego żonę i dzieci wywieźli na Syberię.

Ks. Andrzej Chibowski: Co się zmieniło, kiedy Sowietci wkroczyli tu 17 września?

Maria Wypych: Miałam wtedy 15 lat. Mama chorowała, więc przeprowadziłam się do niej od babci. Była mroźna zima. Przyszli we trójkę: dwóch Ukraińców i jeden sowiecki oficer. Powiedzieli, żeby wziąć ze sobą ciepłe ubrania. Mama spakowała dwie pierzyny. Żołnierze powiedzieli, że wszystko dostaniemy tam, gdzie pojedziemy. Kazali ojcu zaprzęgnąć do sań naszego konia. Zawieźli nas do Parchacza. Wpakowali nas do wagonów. W naszym znajdowało się 60 osób. Tam była tylko jedna półka a na środku piecyk. Za nim znajdowała się dziura na toaletę. Jak ktoś chciał skorzystać z toalety to zasłaniało się kocem. Pociąg nigdzie się nie zatrzymywał. Nie dawali nam nawet wody. Tylko raz niedaleko Moskwy dali nam zupę. Jechaliśmy dwa tygodnie. Panował straszny głód. Dzieci płakały. Ludzie umierali. Strażnicy odsuwali drzwi i wyrzucali martwe ciała.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy Pani babcia również została wywieziona?

Maria Wypych: Tak. Dwaj bracia mamy również. Tam była też Stefania Zawada z domu Sondej. Pochodziła z mojej kolonii.

Ks. Andrzej Chibowski: Gdzie was zawieźli?

Maria Wypych: Do Świeradłowa. Tamtejsze lasy ciągną się aż do Finlandii. Dojechaliśmy do Sośwy. Tam kończyły się tory kolejowe. Dalej trzeba było iść 45 km przez las. Dzieci mogły jechać saniami.

Ks. Andrzej Chibowski: Jak wyglądał posiołek?

Maria Wypych: Domy zbudowano z okrągłych bali pomiędzy którymi upchnięto mech. Tam były piece i drewniane łóżka.

Ks. Andrzej Chibowski: Ile osób mieszkało w takim domu?

Maria Wypych: Tylko nasza rodzina. Mieliśmy kuchnię i dwie sypialnie. Niedaleko była studnia. Ktoś to dobrze zorganizował. Nie pamiętam ilu ludzi mieszkało na posiołku, ale pewnością ponad dwa tysiące. Był też duży szpital, więzienie, piekarnia. Podzielili nas na grupy i wysłali do pracy w lesie. Każdy kto ukończył 15 lat musiał pracować. Pracowałam przy zbieraniu żywicy. Mama mieszła bosymi stopami zamarznąłą glinę, z której wyrabiano kubki do zbierania żywicy. Zachorowała na płuca. Tata robił beczki. Nie mógł wyrobić normy, więc stracił pracę. Chorował. Nie mógł pracować w lesie. Dostawał tylko 200 gramów chleba dziennie. Chodziliśmy do lasu na grzyby i jagody. Trzeba było nosić siatki ochronne na twarzy ze względu na komary.

Nie mieszkałam z rodziną tylko w baraku w lesie. Pracowałam również w niedzielę. Musiałam zbierać żywicę z tysiąca albo i więcej sosen. Temperatura spadała nawet do 42 stopni poniżej zera. Pilnował nas sowiecki strażnik, żebyśmy wyrobili normę. Wieczorem przywozili chleb. Każdy otrzymywał po 400 gramów. Brakowało mi witamin i zachorowałam na kurzą ślepotę. Nie widziałam po zmroku. Dwie dziewczyny musiały mnie prowadzić, żebym wzięła swój chleb. Nie można było pójść po chleb dla kogoś. Chłopcy bardzo głodowali. W nocy jęczeli z głodu. Byli w wieku od 18 do 21 lat i potrzebowali więcej jedzenia niż kromka chleba. Zostawiałam sobie trochę chleba na śniadanie. Wrzucałam go do kubeczka z wodą i zjadłam przed pójściem do pracy. W lesie zbierałam jagody.

Ojciec nie mógł pracować ze względu na stan zdrowia. Leżał na pryczy. Martwiłam się o niego. Opiekowała się nim moja siostra, bo ja nie mieszkałam na posiołku. Tak było przez półtora roku.

Dowiedzieliśmy się o amnestii. Potrzebowaliśmy na bilet na pociąg po 50 rubli za osobę, czyli 400 rubli za naszą ośmioosobową rodzinę. Po raz pierwszy dostałam pieniądze za moją pracę. Udało nam się kupić bilety. Mama była chora i nie chodziła. Tato ledwo chodził. Stacja kolejowa była oddalona o 45 km od posiołka. Już prawie wszyscy wyjechali z posiołka. Dostaliśmy sanie. To był październik, ale leżała metrowa warstwa śniegu. Ruszyliśmy w podróż. Mojemu ojcu nie wolno było wsiąść na sanie, mimo że ledwo szedł. Siedziały na nich mama i troje dzieci. Rosjanin bał się, że konie nie udźwigną większego ciężaru przez 45 km. Tato szedł daleko za saniami. Bałam się, że upadnie. Szliśmy pra-

wie cały dzień do późnej nocy. Przyszliśmy do stacji kolejowej w Sośni. Jakaś Rosjanka pozwoliła nam zamieszkać u siebie do czasu przyjazdu pociągu. Powiedziała, że nie da nam nic do jedzenia, bo nie ma. Byliśmy tacy głodni. Następnego dnia mama dała nam chustkę, żebyśmy wymienili ją na jedzenie. Dostaliśmy za nią 2 kg suszonego grochu.

Pojechaliśmy pociągiem do Uzbekistanu. Jechało z nami wielu Żydów, którzy uciekali przed Niemcami. Nie mieliśmy jedzenia. Nie mogliśmy spać, bo gryzły nas wszy. To było straszne. Jechaliśmy pociągiem chyba dwa tygodnie. Ojciec został w jednej miejscowości niedaleko Uzbekistanu. Po dwóch dniach przyjechał innym pociągiem. Tam nie hodowali koni. Zaprzęgali do wozów byki z dużymi rogami. Takim wozem zawieźli nas do kołchozu. Zamieszkaliśmy w małym uzbeckim domku. Były tam dwie półki jako łóżka. Wodę czerpaliśmy z pobliskiego strumyka, w którym piły krowy a Uzbekczki prały w nim odzież. Ojciec zrobił piecyk z dużego garnka. Wyciął w nim dno i drzwiczki. Paliliśmy w nim łądygami, ale i tak nie mieliśmy co gotować. Raz dostaliśmy mąkę, ale później już nic. Musieliśmy iść do pracy.

Nie mieliśmy nic do jedzenia. Rano wstawaliśmy i modliłam się do Matki Bożej, żeby nakarmiła dzieci i szłam do pracy. Rodzice nie mogli pracować, bo byli chorzy. Nawet mój 10-letni brat musiał iść do pracy. Rozkopywaliśmy pagórki, żeby utworzyć polany, na których sadzono bawełnę. Pracowałam od ósmej do piątej. Nie miałam siły. Tylko Pan Bóg nas trzymał przy życiu.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy wiedzieliście, że tworzy się Armia Andersa?

Maria Wypych: Wiedzieliśmy. Zawieźli nas do Kitabu a 8 km dalej był Szahrizab, gdzie organizowała się placówka wojskowa. Ojciec zachorował na tyfus. Później zachorowała mama. Ja dostałam zastrzyk w kręgosłup i dlatego ominęła mnie ta choroba. Tylko straciłam siły w nogach. Tato zmarł 7 lutego 1942 roku. Mamę zabrali do szpitala. Tam nie było pielęgniarek ani lekarzy. Pacjenci czekali na śmierć. Ojciec przed śmiercią bardzo jęczał. Miał wysoką temperaturę. Pewnej nocy zrobiło się cichutko. Powiedziałam do brata: *zamelduj, że ojciec umarł*. To było niedaleko Afganistanu.

Mama zmarła w szpitalu 13 lutego. Przyszedł polski żołnierz i powiedział, żeby mój brat Janek zgłosił się do junaków w Szahrizabie. Poszłam na targ wymienić na jedzenie chustkę po mamie. Tam spotkałam polskiego żołnierza. Powiedziałam mu, że moi rodzice zmarli. Dowiedziałam się gdzie polscy żołnierze wydają zupę. Trzeba było wstać o piątej rano, żeby stanąć w kolejce. Okazało się, że zabierają sieroty do polskiej ochronki. Zaprowadziłyśmy tam z siostrą

nasze młodsze rodzeństwo Bronię i Franję. Ponownie spotkaliśmy się dopiero w Persji.

Później otrzymaliśmy możliwość wyjechania do Persji. Trzeba było przepłynąć przez Morze Kaspijskie. Każdy się cieszył, że opuszczamy ZSRR. Wyszliśmy na wybrzeżu Persji w Pahlevi. Tam czekali na nas żołnierze. Sprzedawałam pierzyny za dwa gotowane jajka. Było tak gorąco, że Persowie gotowali jajka, zakopując je w piasku. Kupowali od nas wszystko za gotowane jaja. Przeszliśmy kąpiel dezynfekującą i dostaliśmy nowe amerykańskie ubrania.

Do Teheranu zawieźli nas ciężarówkami. Teheran to była dolina śmierci. Wiele matek, które przeżyły w Uzbekistanie, umarło w Teheranie. Ks. Michał Wilniewicz pisał w pamiętniku, że miał 19 pogrzebów dziennie. W Teheranie znajdują się dwa duże polskie cmentarze.

Razem z siostrami zapisałyśmy się do sierocińca, bo chciałyśmy odnaleźć nasze rodzeństwo Bronka i Franję. W sierocińcu opiekowałam się małymi dziećmi. Byłyśmy w zakładzie nr 1. Tuż obok sierocińca znajdowało się lotnisko, na którym ustawiono szpitalne namioty. Dzieci chorowały na dyzenterię, bo po głodowaniu na Syberii posiłki z tłuszczem bardzo im zaszkodziły. Pewnego razu przysła jakaś kobieta do sierocińca i powiedziała mi, że w 21 namiocie leży mały Węgrzyn. I tak odnalazłam mojego brata, Bronka Węgrzyna. Był bardzo chory. Nie poznał mnie.

17 czerwca przenieśli nas do Isfahanu. Wynajęto tam dla polskich dzieci 20 domów. Zostaliśmy podzieleni na grupy według wieku. Ja i moje dwie siostry zostałyśmy umieszczone w zakładzie w ormiańskiej dzielnicy na Dżulfie. Broniek został umieszczony w zakładzie nr 10. Razem z nim był Staszek Manterys i moja najmłodsza siostra Frania.

Ks. Andrzej Chibowski: Jak wyglądało życie w Isfahanie?

Maria Wypych: Miałam pięć lat przerwy w nauce. W Polsce uczyłam się w czwartej klasie. W Persji wróciłam do szkoły. Zaczęłam szóstą klasę a kilka miesięcy później siódmą. Wszyscy poszli do gimnazjum, ale ja czułam się za stara na naukę. Miałam 17 lat. Chciałam zapisać się do szkoły krawieckiej, ale nie było już miejsc. Pani Skwarkowa, która była kierowniczką wszystkich zakładów w Isfahanie, skierowała mnie do tkania dywanów. Pracowałam nad dywanem, który później został ofiarowany dla premiera Mikołajczyka. Cztery dywany zrobione przez polskie dzieci w Persji znajdują się w Muzeum w Warszawie. To była bardzo ciężka i wymagająca praca.

Pewnego dnia kierowniczka zakładów pani Skwarko powiedziała do mnie: *Proszę się pakować. Wyjeżdżasz do zakładu nr 10 do opieki nad dziećmi.*

Tam mieszkał mój brat Broniek. Opiekowałam się dziećmi z drugiej klasy. Mieliśmy w sierpniu wyjechać do Nowej Zelandii, ale coś się zmieniło i wyjechaliśmy dopiero w październiku.

Ks. Andrzej Chibowski: Kiedy Pani poznała ks. Michała Wilniewczyca?

Maria Wypych: W Persji w zakładzie nr 6 na Dżulfie. Pamiętam go ze szkoły.

Maria Wypych: Panie Bronku a co Pan zapamiętał z tego okresu w Persji?

Bronisław Węgrzyn: Bardzo mało.

Maria Wypych: Ciężko chorował na tyfus i krzywicę. Był cały czas w szpitalu.

Bronisław Węgrzyn: Brak witamin powodował, że wykrzywiały się kości.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy pamięta Pani coś z drogi do Nowej Zelandii?

Maria Wypych: Na okręcie Sontay opiekowałam się dziećmi. Trzeba było na noc rozkładać materace. Musiałam przynieść jedzenie, umyć, przynieść wodę. Trzeba było uprać szorty dla wszystkich i wysuszyć. Tak wyglądała moja podróż. Nie pamiętam nic z okrętu Randall, bo chorowałam.

Ks. Andrzej Chibowski: 1 listopada 1944 roku okręt dopłynął do zatoki w Wellington. Tutaj rozpoczęło się dla was nowe życie. Czy pamięta Pani ten moment?

Maria Wypych: O tak, mam dużo zdjęć. Musiałam przenieść 24 walizki. Pilnowałam dzieci podczas wysiadania z okrętu i wsiadania do pociągu. Pojechaliśmy do Pahiatua. Stamtąd wojsko zawiozło nas ciężarówkami do obozu. Byłam opiekunką najmłodszych chłopców w wieku 4-5 lat. Żaden z nich nie miał matki.

Ks. Andrzej Chibowski: Jak wyglądało życie w Pahiatua?

Maria Wypych: To był wojskowy obóz. Wszystko robiło się na gwizdek. Spałam z dziećmi na tej samej sali. Rano trzeba było szybko obudzić dzieci, zawiązać im 24 pary butów. Wszystko w pośpiechu, żeby zdążyć na śniadanie.

Bronisław Węgrzyn: Mieliśmy pół godziny na posiłek i jak czas minął, trzeba było wyjść z jadalni.

Maria Wypych: Jedzenie było bardzo dobre. Gotowali żołnierze.

Ks. Andrzej Chibowski: Jak Pani zapamiętała ks. Michała Wilniewczyca kapłana w Pahiatua?

Maria Wypych: Był bardzo poważny. Dużo pracował. Organizował jasełka.

Bronisław Węgrzyn: Ks. Michaś odprawiał polskie nabożeństwa. Organizował procesje na Boże Ciało.

Ks. Andrzej Chibowski: Co wam pomogło przetrwać najtrudniejsze chwile?

Maria Wypych: Myślę, że wiara w Boga i modlitwa do Matki Bożej. Ja tak się modliłam i wszyscy sześcioro żyjemy.

Ks. Andrzej Chibowski: Co przez pryzmat swojego doświadczenia życiowego, chcieliby Państwo powiedzieć młodym ludziom?

Maria Wypych: Trudno im coś powiedzieć. Oni będą robić po swojemu. Może, żeby się nawrócili bardziej do Boga...

Ks. Andrzej Chibowski: Czego was nauczyły doświadczenia życiowe?

Bronisław Węgrzyn: Człowiek jest najważniejszy. Jak człowiek zgubi to, że jest człowiekiem, zostanie pozbawiony wiary w Boga, to gubi się zupełnie. My na zachodzie gubimy się w materializmie. W ZSRR widzieliśmy okrucieństwa dokonywane przez bezbożnych ludzi. Nas uratowało to, że w ZSRR i Uzbekistanie byli bogobojni ludzie i nam pomogli. Życie w Nowej Zelandii jest tak łatwe. Ludzie, żyjący tutaj nie mogą sobie wyobrazić jak okrutne i ciężkie było nasze życie na Syberii. Nie doceniają tego co mają. Czasem nawet nie warto na ten temat rozmawiać. Szybko się tego nauczyliśmy jako małe dzieci. Nowozelandzcy koledzy ze szkoły w ogóle nas nie rozumieli.

Pewien socjolog napisał, że jeżeli dziecko jest maltretowane to w życiu dorosłym zostanie kryminalistą. A my, dzieci z Pahaitua zupełnie zaprzeczamy tej teorii. Po tym co przeżyliśmy powinniśmy wyrosnąć na wielkich kryminalistów a wyrosliśmy na dobrych ludzi. Dodam, że ks. Wilniewicz miał bardzo duży wpływ na młodzież w obozie.

Ks. Andrzej Chibowski: Dziękuję Państwu za rozmowę.